WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 48 (62)
Rok II
2 XII 1962 r.

TADEUSZ PIEKŁO

Studium malowania obrazu

pamięci TADEUSZA MAKOWSKIEGO

SZKIC

Z linii wiedziony pobłysk wnętrza.
Rośnięcie w zamysł. Głąb i cienie.
Moment patrzenia. Chwila pierwsza
jak drgnienie rzęs. I już — zmęczenie.

NAPINANIE PŁÓTNA

Oto jest półtno. Pierwszy olej,
Wskrzeszenie oczu lnu z letargu
Szukanie światła w mglistym kole.
Słońce i cień się z sobą wadzą.

KOMPOZYCJA

Forma się struktur gęstwą spiętrza.
Ziem szarość, sepii nasępienie
Materii bunt pod drgnieniem pędzla.
Istnienie w walce z Nieistnieniem.

POKAZ

Działo na przekór chęciom, woli,
lecz w zgodzie idealnej z prawdą.
Klej, nóż i szmaty. Farby. Boleść.
Czas i niepamięć. — Całość sprawdzą.

W niechciałkowskim lesie

ZAMORDOWANYCH i zmarłych w Pełkinach z chorób lub wycieńczenia jeńców radzieckich hitlerowcy grzebali na polu obok wiejskiego cmentarza. W odległej o kilka kilometrów Wólce Pełkińskiej, wybrano do tego celu leżący naprzeciw obozu mały las zwany potocznie Niechciałkami. Raz po raz wyruszały tu wozy napełnione ciałami ludzkimi, które wrzucano do pospiesznie kopanych dołów i przysypywano piaskiem. Czynności te wykonywali współtowarzysze pomordowanych pod nadzorem silnej eskorty.

Ale ani pilnujący ich strażnicy, ani tym bardziej komenda obozu nie wiedziała, że polana w niechciałkowskim lesie, przeznaczona na jeniecki cmentarz, spełniała także inną rolę: skrzynki kontaktowej, przez którą porozumiewano się ze światem. Tędy właśnie szły do obozu gęsto zapisane kartki z wieściami o sytuacji na frontach, informacje i wskazówki dla decydujących się na ucieczkę, słowa otuchy i zachęty do wytrwania. Na zewnątrz przesyłano opisy sytuacji obozowej, bestialstw hitlerowskich, listy z nazwiskami zabitych i zmarłych z głodu jeńców.

Znaczenie lasku jako punktu łączności było ogromne. Stalag w Wólce Pełkińskiej nie dawał takich szans ucieczki, jak obóz w samych Pełkiniach. Ze względu na jego położenie w polu, na uboczu, za wsią, dotarcie doń i jakakolwiek pomoc miejscowej ludności były niezwykle utrudnione. W dodatku ochrona tutaj była surowsza i ostrzejsza.

Z pomocą współbraciom pospieszyli jednak inni jeńcy radzieccy, którzy zdołali wcześniej wyrwać się z niemieckiej niewoli. Składający się z nich oddział partyzancki działający w okolicach Gniewczyny i Grodziska wielokrotnie podchodził pod obóz i podczas ulewnych deszczów lub zamieci śnieżnych dokonywał przerzutów za druty łomów, siekier, noży i innych niezbędnych w ucieczce przedmiotów. Kiedyś udało się nawet dostarczyć w umówiony punkt lagru dwa pistolety i dubeltówkę. Przy każdym takim przerzucie wędrował do obozu papier i przybory do pisania. Pewnego razu patrol partyzancki zlikwidował dwóch strażników niemieckich, na których natknął się przy podejściu pod druty.

Rezultatem tej działalności było kilka udanych ucieczek, a wielu zbiegów znalazło się właśnie w tym oddziale partyzanckim. Oni to poddali wysuniętą wcześniej w obozie myśl wykorzystania lasku Niechciałki jako punktu łączności. Od-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Kto daje więcej niż bierze

Ojczyzna przez duże O

Tak, to słowo pisaliśmy zawsze z wielkiej litery.

A współczesny nam krytyk*) stwierdzał przed paru laty z nutą goryczy i żalu (a może i odrobiną dumy) w głosie: „Lubimy przeżywać historię romantycznie, górnie i chmurnie, z huzarią i wieszczami, z najwyższym napięciem uczuciowym, nie unikając aktów bohaterskich, ale i szaty rozdzierając i duszami targając". Całe pokolenia Polaków przeżywały właśnie tak minione dzieje Ojczyzny, tak właśnie przeżywały swoją epokę, swoje życie.

Czy zauważyliście różnicę między cytatem a zdaniem, w którym pozwoliłem sobie potwierdzić słowa, na jakie się powołuję? Jest to różnica gramatyczna. Cytat ubiera prawdę w czas teraźniejszy — autor niniejszego przyoblekł jej potwierdzenie w czas przeszły.

Ale to przecież nie tylko gramatyczna różnica. Każdy bardziej uważny obserwator naszej współczesności widzi różnicę treści, różnicę między romantycznym i uczuciowym patriotyzmem historii a innym, odmiennym patriotyzmem dnia dzisiejszego.

I my piszemy słowo Ojczyzna z wielkiej litery, chcemy je tak pisać, chcemy, by tak je pisały nasze dzieci i wnuki. Ale na czym polega owa „inność" współczesnego patriotyzmu? Przecież nie wyrozumowaliśmy tej odmienności, którą czujemy intuicyjnie i która przyszła, a może lepiej powiedzieć, zwaliła się na wielu z nas bez naszego świadomego udziału, czy nawet wbrew temu udziałowi...

Na temat historycznych źródeł naszego tradycyjnego patriotyzmu można by napisać spory tom. Ale można też powiedzieć krótko: takich nas wychowała historia. Byliśmy jej tworem, jej tworem był charakter, klimat, temperatura naszego patriotyzmu.

Ale historia nigdy nie przestała wychowywać. Nie tylko nie zaprzestała, ale na pewno wzmogła swoją edukacyjną działalność w trudnych latach, które przyszło przeżyć naszemu pokoleniu. W latach, w których kształt życia i kształt świata formował i formuje się w walce. W walce, której treść — mimo całej różnorodności form — sprowadza się do walki koncepcji. Naszemu pokoleniu dane było przeżyć decydujący, światoburczy i światotwórczy etap tej walki. I czy chcemy, czy nie chcemy — jesteśmy wychowawczym tworem tego najbardziej współczesnego etapu historii współczesnej. Tworem tego etapu jest również nasz dzisiejszy patriotyzm.

Ale co stanowi o jego treści, o jego odmienności?

Myślę, że istota pojęcia patriotyzmu nie uległa zmianie. Patriotą był i jest człowiek, który swojemu krajowi i swojemu narodowi, swojej Ojczyźnie, chce dać więcej aniżeli od niej bierze.

Jednakże wartości, które patriota ofiarowuje swojej Ojczyźnie, które bardziej czy mniej świadomie składa na jej ołtarzu są różne, są odmiennie wartościowane w toku historycznych przemian. Ich ocena zależy od tego, co na określonym etapie historii uważa się za cenne dla narodu, za potrzebne Ojczyźnie.

I tu chyba tkwią konkretne elementy współczesnego patriotyzmu, przeciwstawiające go patriotyzmowi tradycyjnemu. Tym elementem jest odmienna od historycznej treść pojęcia naród. Jest to odmienność klasowa, rozszerzająca „skład" narodu w sposób nieporównywalny z epokami, w których narastał nasz tradycyjny patriotyzm. Wystarczy uświadomić sobie wiekową strukturę społeczności, w której „stan kmieci" żył z pokolenia na pokolenie na peryferiach narodu. Wystarczy wczuć się w treść określenia „pospólstwo", jakim historycy obdarzali w ciągu wieków część narodu (w dzisiejszym znaczeniu tego słowa), nie podkładając bynajmniej pod tę definicję pejoratywnego zabarwienia. To pierwsze — inny jest naród, ku któremu skierowany jest nasz współczesny patriotyzm.

Element drugi: świat, w którym ten naród żyje. Świat nowoczesny, dyktujący każdemu narodowi warunki współżycia i wartościujący w ten sposób ofiarę patriotyzmu dla narodu. Historia to Tatarzy, Krzyżacy, Szwedzi, zabory, powstania — i jeszcze dalej — to faszystowski najazd, okupacja, walka na śmierć i życie... Tak, to właśnie życie było i musiało być najwyższą formą patriotycznej ofiary.

A dziś? Sądzę, że aby uzmysłowić sobie głębokość przemiany wystarczy wyobrazić sobie człowieka, który by właśnie dziś przyszedł i oświadczył: Chcę umrzeć dla Ojczyzny! Czy dzisiejsza Polska może potrzebować czyjejkolwiek śmierci? Czy Polsce dziś potrzebna jest krew? Komu? Budowniczym Turoszowa, zagryzającym zęby, by wcześniej uruchomić energetyczny kombinat, czy działaczom CRZZ szukającym drogi poprawienia sytuacji uczącej się i pracującej równocześnie młodzieży? Tym, którzy pracują nad podniesieniem polskiego eksportu czy innym, głowiącym się nad zapewnieniem naszym dzieciom tysięcy nowych nauczycieli?

Potrzebna nam była i jest stanowczość i zdecydowanie w obronie pokoju. Nie śmierć, lecz życie. Życie wypełnione pracą dla siebie, rodziny, społeczności, narodu, Ojczyzny.

A więc patriotyzmem jest praca? Sama praca, która zawsze służy nie tylko indywidualnemu, ale i ogólnemu, narodowemu pożytkowi? Sądzę, że takie twierdzenie byłoby uproszczeniem pojęcia patriotyzmu, a nawet jego wulgaryzacją. Praca jest obowiązkiem, jest w naszych warunkach obowiązkiem odpłatnym, powszechnym i powszednim. A przecież samo pojęcie patriotyzmu mieści w sobie elementy wyrastające ponad powszedniość. Patriotyzm jest uczuciem zniewalającym człowieka do dawania z siebie na rzecz wspólnych potrzeb narodu, Ojczyzny — wartości większych od tych, które równocześnie od tej wspólnoty pobiera.

Jak sprecyzować owe większe wartości w zestawieniu z głęboko zmienionymi potrzebami kraju, w którym żyjemy i którym żyć będą przyszłe pokolenia? Próba wyliczenia tych potrzeb skazana jest z góry na niepowodzenie — taka jest ich mnogość i różnorodność. Wydaje się jednak, że można określić ich wspólną cechę. Wszystkie te potrzeby są rzeczowe, konkretne, trzeźwe. Od budowania nowoczesnej gospodarki — do gruntowania sprawiedliwości w stosunkach międzyludzkich, od tego, co w ekonomii nazywa się tworzeniem miejsc pracy dla wchodzących w wiek produkcyjny roczników — do wychowywania młodzieży tak, by nasi następcy mogli w przyszłości sprostać czekającym ich patriotycznym zadaniom.

Różnorodność potrzeb nowoczesnego narodu polskiego musi wiązać się z różnorodnością form współczesnego patriotyzmu. Ale realizm tych potrzeb determinuje charakter tego patriotyzmu. Sprowadza go na ziemię, na grunt konkretnych warunków ekonomicznych, zadań gospodarczych, celów wychowawczych. Patriotyzm nie jest sam w sobie pracą dla wspólnego pożytku, bo każda uczciwa praca zawiera element wspólnego interesu. Ale patriotyzm dnia dzisiejszego jest z pracą człowieka, z jego miejscem w społeczeństwie, jak najściślej związany. Patriotyzm jest twórczym rozwijaniem tej pracy, jest wzbogaceniem jej wkładem serca i myśli, jest — mówiąc najogólniej — rozwijaniem socjalizmu. Jest niewymierną jakością, która wiązać się może z każdą pracą fizyczną i umysłową, tworzącą dobra materialne i rodzącą wartości kulturalne. Jest tą jakością pracy, która sprawia, że wynikający z niej wspólny pożytek przewyższa pożytek indywidualny.

Nie ma w pojęciu nowoczesnego patriotyzmu żadnych elementów bohaterstwa, do których przyzwyczaiła nas tradycja. Nie ma w nim podtekstu katolicyzmu, stanowiącego ongiś — w spadku po wiekach w których byliśmy „przedmurzem chrześcijaństwa" — synonim narodowej służby. Indywidualny stosunek człowieka do religii jest dziś całkowicie niezależny od jego zawodowej i społecznej działalności, w której znajduje wyraz nowoczesny patriotyzm. Patriotyzm nie mniej wzniosły aniżeli odczucia tych, co „serce kładli na Ojczyzny progu". Jest to patriotyzm ludzi tak kochających swój kraj i swój naród i tak z nim zespolonych, że chcą i potrafią swoim życiem służyć rzeczywistym i konkretnym, współczesnym i nowoczesnym potrzebom swojej Ojczyzny.

MICHAŁ BILEWSKI

*) J. Bocheński. Fakty i zwierzenia.

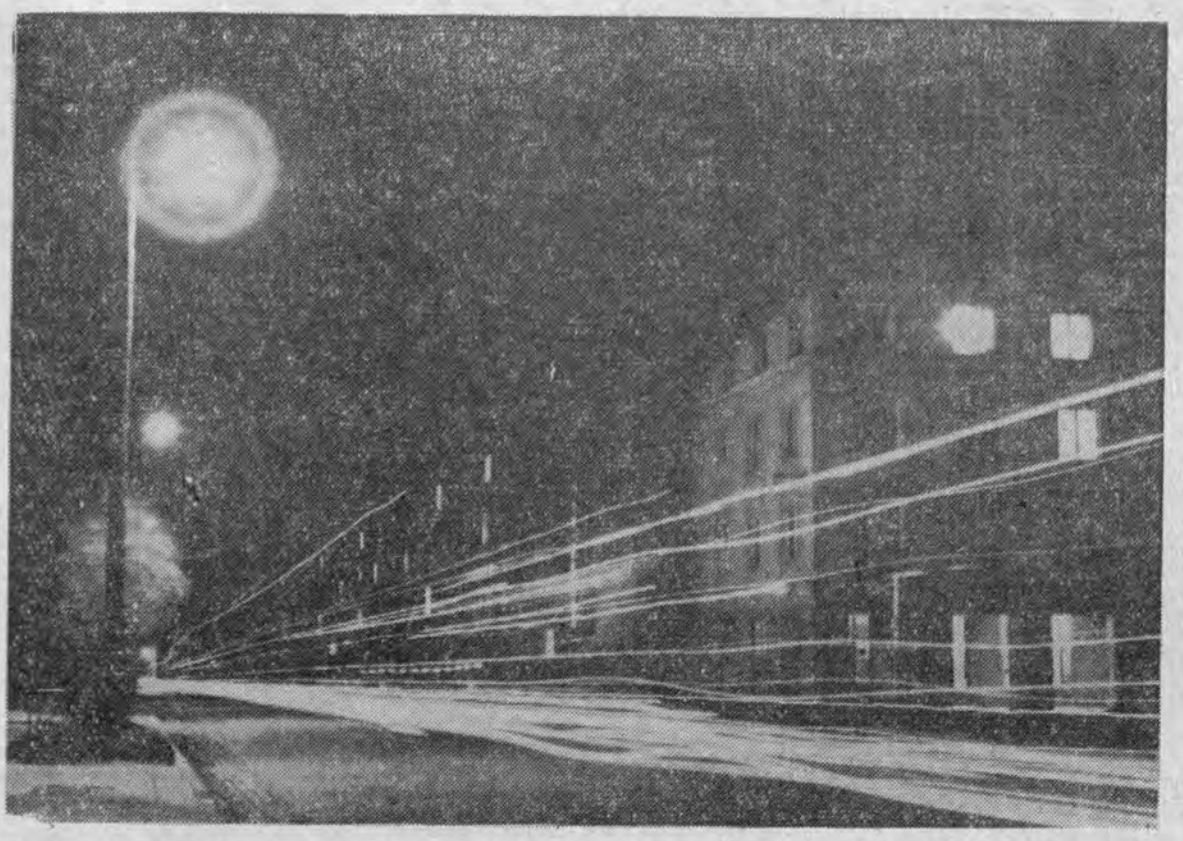

RZESZÓW W NOCY

Fot. J. Fischer

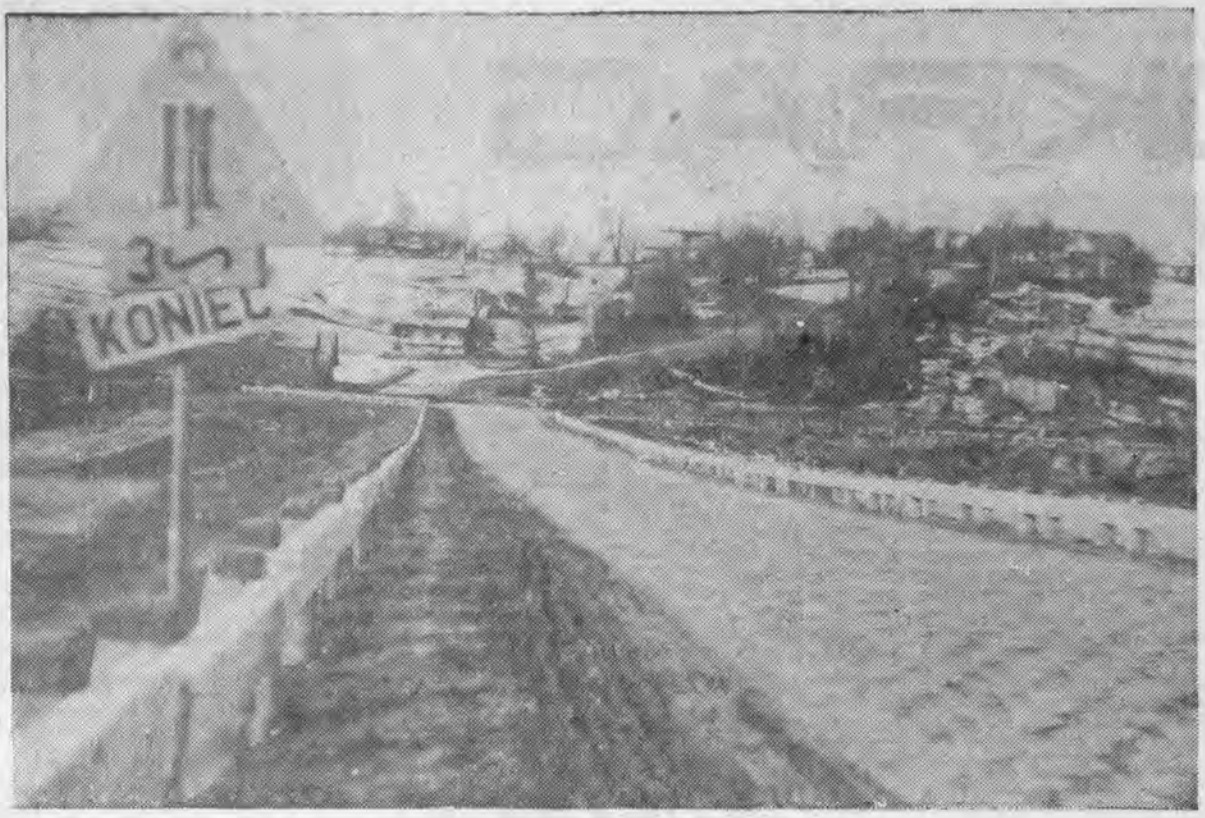

W BIESZCZADACH *Fot. R. BILSKI*

W niechciałkowskim lesie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tąd jeńcy grzebiący zmarłych zakopywali także płytko w ziemi kartki z informacjami. Na wierzchu układano w takim miejscu niepozorny trójkąt z patyków oznaczający, że właśnie tutaj znajduje się przesyłka. Wieczorem przychodzili partyzanci, odszukiwali owe znaki i odgrzebywali kartki. Tak pomyślana łączność działała bez zarzutu i wielokrotnie bardzo się przydała. Niemcy nie wpadli na jej ślad nigdy.

Pewnego wiosennego wieczoru trójka partyzantów wybrała się po kolejną „pocztę" z obozu. Przeczekawszy w lesie koło wioski Jagiełła do nastania ciemności, podeszli polami do Niechciałek i tu, ostrożnie przyświecając sobie latarkami, jęli szukać omówionych trój kątów.

Pogoda była kiepska. Ciężkie, deszczowe chmury wisiały nisko nad ziemią. Porywisty wiosenny wiatr giął wierzchołki drzew wygwizdując na nich swoje melodie. Takie noce były dla partyzantów najlepsze. Ulewa, zamieć śnieżna zapędzały Niemców do budek strażniczych, pozwalały niepostrzeżenie podchodzić pod sam obóz. Taką pogodę wybierano zwykle na akcję.

Pierwsze poszukiwania nie dawały rezultatów. Przepatrywano więc metr po metrze przestrzeń wokół świeżo zasypanych grobów, gdy raptem w poszum wiatru wplótł się jakiś inny zawodzący dźwięk.

— Kola, co to? Słyszysz? — przytłumionym głosem zwrócił się do towarzysza jeden z partyzantów.

— E, nic, wiatr jęczy — odpowiedział zapytany, dalej pilnie wpatrując się w ziemię.

Ale po chwili dźwięk powtórzył się znów i teraz obaj mężczyźni podnieśli głowy, nadsłuchując.

— Mów co chcesz, ale ja tam wolę przebywać wśród żywych niż wśród umarłych — powiedział partyzant, który pierwszy zwrócił uwagę na dziwny głos.

W tym momencie jęk rozległ się jeszcze raz i tak wyraźnie, że tym razem nie ulegało wątpliwości, iż wiatr nie może być jego sprawcą.

Trzeci z partyzantów podjął decyzję:

— Trzeba sprawdzić, co to jest.

Ostrożnie, zaciskając dłonie na rękojeściach pistoletów, podeszli do miejsca, skąd dochodził ów dźwięk. Nieopodal dużego krzaka w świeżej mogile leżał na poły przysypany ziemią człowiek. Był bez ubrania, w samych tylko kalesonach.

— Nieprzytomny. Lada moment skończy — szepnął któryś z trójki.

— Trudno powiedzieć. W każdym razie tak człowieka zostawić nie możemy. Zdejmuj płaszcz, a ty Kola bierz go za nogi — zadecydował znów ten, co pierwszy ruszył ku jęczącemu.

Po chwili człowiek z mogiły znalazł się na rozpostartym płaszczu, który uniosły z ziemi trzy pary mocnych rąk. Partyzanci szybkim krokiem zdążali do najbliższej gajówki.

Gajowy nie wyglądał bynajmniej na zachwyconego nocną wizytą. Miał zapewne jakieś wpływy w którejś z podziemnych organizacji, bo nawet z początku postawił się trochę, ale później zmiękł, wpuścił niespodziewanych gości do domu i znalazł trochę mleka, które szybko zagotowano.

Chory w ciepłej izbie oprzytomniał na moment.

— Jak się nazywasz? — spytał jeden z partyzantów.

— Achmet Akbir...

— Daj mu spokój, niech nie traci sił — wtrącił drugi.

Podano mu mleko. Zaledwie dwie, trzy łyżeczki. Byli jeńcy wiedzieli, że większa ilość może zabić wygłodzonego, wycieńczonego kolegę. Tamten wypił, rozejrzał się ze zdziwieniem dokoła i znów osłabł.

Achmet Akbir został dobrze ukryty i otoczony troskliwą opieką. Przeniesiono go do Gniewczyny Łańcuckiej, która była niejako bazą partyzantów radzieckich i tutaj zdrowy, a tylko wycieńczony organizm stopniowo przezwyciężał słabość. Młodego Tatara umieszczono u rodziny Koniecznych, która przechowywała go przez dłuższy czas. Okazało się, że w obozie tak osłabł z głodu, iż uznano go za zmarłego i wywieziono na cmentarz. Tylko zwykłemu przypadkowi zawdzięcza życie.

Akbir wstąpił do oddziału i przetrwał całą wojnę. Później wrócił do Związku Radzieckiego. Mieszka w Uglozawodsku, skąd nadsyła czasem listy do swoich wybawców i ludzi, z którymi związały go wspólne przeżycia z lat okupacji.

W Przeworsku pracuje inny bohater tego opowiadania — Nikołaj Foszczaj, jeden z tych, którzy znaleźli Achmeta w niechciałkowskim lesie i ocalili go przed śmiercią. On to właśnie, sam były jeniec, a następnie partyzant radziecki, osiadły później w Polsce, opowiedział mi szczegóły tej historii.

WITOLD SZYMCZYK

Las Niechciałki — dzisiaj. Brama cmentarza ofiar hitleryzmu, na którym spoczywają prochy tysięcy jeńców z obozu w Wólce Pełkińskiej. Stąd właśnie partyzanci wynieśli na wpół żywego Achmeta Akbira (Zdjęcie z archiwum KP PZPR w Jarosławiu)

DYSKUSJE ◆ POLEMIKI ◆ DYSKU

Obłuda i co

Wrzód dojrzał. Napęczniała delikatna błonka pękła pod naporem wzbierającego fermentu i utworzyła niepokaźne jeszcze, ale dość charakterystyczne ujście. To dobrze że się tak stało. Wcześniej czy później do tego by doszło. Duet autorski (Kazimierz Grzybowicz, Wincenty Zawirski) wtargnął do garderoby KKMP-owskiego życia, żeby dokonać uzdrawiającego wietrzenia.

Myśl niezła, nawet od czasu do czasu konieczna, byle zgodna z rzeczywistością i własnymi przekonaniami. Niestety, szermierka wypadła dość groteskowo, mimo że artykuł („Jeszcze nie stało się ciałem") stawiał sobie za zadanie pokazanie dwu stron medalu młodego środowiska literackiego Rzeszowszczyzny. Autorzy przebrnęli przez problematykę z zamkniętymi oczami, na ślepo! Pokazując kilka negatywów (w wielu wypadkach przejaskrawionych) zapomnieli wspomnieć o dobrych aspektach rzeszowskiego „Parnasu"...

Sprawa byłaby mniej drażliwa, gdyby poruszali ją ludzie spoza KKMP-owskiego podwórka. W naszym wypadku rzecz ma się odwrotnie. Obaj autorzy w mniejszym lub większym stopniu związani są z klubem, ba, wyrośli na jego gruncie. Powinni więc być bardziej dokładni w precyzowaniu niektórych sformułowań, które padły pod adresem rzeszowskiego Ośrodka Młodych. Przesycono więc artykuł bombowymi uwagami, zarzucono młodym (sami też młodzi) bezideowość, obłudę, brak zaangażowania się społecznego i nie wynikające z własnego przekonania siły — słowa. Na boga, skądże ta obawa!

Mało. W dalszym wywodzie autorzy zgodnie stwierdzają, że: cytuję „... z pożytecznego stądinąd zjawiska współczesności zaczyna się toczyć prowincjonalno - groteskowa konkurencja Związku Literatów Polskich, obliczona na epatowanie maluczkich (sic.! — przyp. mój) od razu etykietki, a słowo pisarza nie stało się jeszcze ciałem. Rzeczywistością bywa coś innego. Etykieta pozwoliła młodym kucać na pozycjach. Napisało się trochę słów, więc z tej racji autorytatywne spotkanie autorskie z powoływaniem się marginesowym na znajomości („Broniewski i ja"), informowanie o zamierzeniach twórczych, zaufanie, brak samokrytycyzmu, a po lokalnym uznaniu to już zupełne całowanie klamek i rozgrywanie swoich drobniutkich interesów. Nawet kosztem oczekiwanego środowiska...". A fe! To już zupełne świństwo. Jak tak można się puszyć. Szkoda tylko, że autorzy zapomnieli podać źródeł, z których czerpali te przykłady. Któż tu u licha, jeśli można zapytać, obcałowuje cytowane klamki? O, nawet kosztem środowiska. Czy to przypadkiem nie przesada? O ile mnie pamięć nie myli, to tych spotkań za wiele nie było, a w tych co były, brali udział również autorzy artykułu, którym coś niecoś też przypiąć można. Cóż więc w tym złego? Zjawisko normalne i nieodzowne dla młodego środowiska twórczego, chyba że zdaniem szanownych autorów młody adept pióra nie powinien przekraczać ram tzw. „getta"... o tym zupełnie nie wiedziałem.

Wiem tylko tyle, że każde środowisko literackie na przestrzeni dziejów od tego zaczynało, ale nigdy nie kalało swego gniazda. Trudno się dziwić, jeśli o młodych piszą młodzi, mierząc ich swoją dość mizerną miarą. Bo jak inaczej nazwać samo określenie wrażliwości niezaradnością? A niestety, tak właśnie scharakteryzowano między innymi kolegę Wieśka Kulikowskiego, jednego z najaktywniejszych członków KKMP. Trudno się wprost domyślić o co autorom chodziło i co mieli na myśli przypinając mu łatkę niezaradności życiowej. Chyba zaradność nie polega na umiejętnym lawirowaniu przez życie, nie posiadając innego konkretnego zajęcia. Koledze Wieśkowi ten rodzaj zaradności na razie jeszcze nie grozi. W dotychczasowych poczynaniach rzeszowskiego ośrodka KKMP, staraliśmy się wszystkich traktować jednakowo. Na przestrzeni dwu lat istnienia tego tworu, nie zdarzył się wypadek gloryfikowania jednych i usuwania w cień drugich. Nawet sprawa kolegi Janowskiego, wspomnianego w artykule, mogłaby mieć nieco inny kształt przy odpowiednim naświetleniu, czego obaj autorzy nie uczynili. To samo dotyczy Piekły i Penara. Bądźmy u licha konsekwentni. Jeśli już przyszywamy komuś łatkę, to róbmy to w miejscu, gdzie tego konieczność wymaga, a nie błądźmy po bezdrożach. To że w naszym wewnętrznym systemie organizacyjnym trochę zazgrzytało, nie wynika z winy jednostki ani też klubu. Wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni za losy młodego środowiska twórczego. Nikt za nas się nie zbierze, nikt za nas nie będzie dyskutował i radził. My sami musimy to zrobić. Nie narzekajmy na brak mecenatu. Mecenat jest, tylko nas chwilowo zabrakło. Umiemy dużo krzyczeć, rozdzierać na sobie przysłowiowe szaty, wtedy, kiedy to jest zbyteczne, ale tam, gdzie powinniśmy tkwić, niestety, nas nie ma. I to jest, moim zdaniem, sedno sprawy. Czas najwyższy na zerwanie z liberalizmem, to nie jest najszczęśliwsza broń. Przyzwyczailiśmy się do prowadzenia zaczepnych utarczek poprzez czasowe zaskoczenie: „Co, nie ma was na horyzoncie?, To my wam zaraz narobimy takiego szumu, że się nie pozbieracie". I huzia całą parą naprzód. Wy tacy, nie tacy będziecie całować klamki dla swoich grubszych i drobniejszych spraw? Wybaczcie, ale to już zakrawa na kpiny, takie z premedytacją.

JURIJ KURANOW

Powrót

Na tydzień przed weselem Pawła porzuciła Leńkę i odeszła z lestranchozu z Kondratem Wiorstą, nająwszy się do koszenia siana w odległym kołchozie. Pod wieczór tego samego dnia modre oczy Leńki pociemniały od wódki. Wracając do lestranchozu drogą wyłożoną okrąglakami, Leńka tak poganiał swoją maszynę, że okrąglaki rozwałkowywane na skamieniałej od skwaru ziemi aż skowytały. Nie zmniejszywszy szybkości przed zakrętem, wbił się ciężarówką w świerkowy las i sam ledwie zdążył wyskoczyć z kabiny — w ostatniej chwili.

Wśród dalekich łąk tonących w malinowej pianie wierzbówki trafiła do Pawły wiadomość, że Leńkę przymknęli. Opowiedziała jej o tym dziewczyna, która przypadkowo zawędrowała w tamte strony.

Pawła przestała kosić. Podeszła do szałasu. Ostrożnie położyła kosę w trawie i wzuła buty.

Kondrat, który słyszał każde słowo rozmowy o Leńce, cisnął swoją kosę i w milczeniu długo patrzył za odchodzącą.

Droga prowadziła przez naszą wioskę. Nazajutrz Pawła wstąpiła do sąsiadki, żeby napić się wody. Oczy miała Pawła tak samo modre jak Leńka. Przysłaniając je jasnymi długimi rzęsami, zapytała:

— A Leńka już w Kostromie?

— Trzeciego dnia wywieźli — sąsiadka odczekała chwilę, zanim rzuciła pytanie: — A gdzież to się Kondrat podziewa?

— Kosi, diablisko.

Pawła usiadła na ziemi, zdjęła buty, pochyliła głowę, rozwiązała chusteczkę, rozpuściła na kolana obłok lśniących włosów.

— A czegóż ty teraz za nim idziesz, czemuś się wcześniej nie rozejrzała? — zapytała sąsiadka surowo.

Pawła zebrała włosy w chusteczkę, wstała i nie patrząc w jej stronę powiedziała jakby do siebie:

— Więzienie nie mogiła. Żeby tylko miał kto na niego czekać, wytrzyma.

Zdjęła pasek, związała buty, przerzuciła je przez ramię i odeszła bez pożegnania.

NOWYJ MIR. 1959

Fotografia

Zmierzchało się. Firsowna siedziała przy stole w półmroku i słyszała, jak za ścianą, u fryzjerów, płacze dziecko. Widocznie strzyżenie maszynką elektryczną wzbudzało taki lęk. Firsowna z uśmiechem pokiwała głową.

Skrzypnęły drzwi, ktoś wszedł. Firsowna odwróciła się w tę stronę. U progu stała kobieta w szarym okryciu i rozplątywała długą czarną chustkę. Okrycie jej przypominało palto i żakiet zarazem. Kobieta rozplątała chustkę, nadal jednak stała u progu.

— Do mnie? — zapytała Firsowna.

— Do fotografii — powiedziała kobieta cicho, ale zdecydowanie i rozpięła okrycie.

Firsowna włączyła jasne światło, obie zmrużyły oczy, postały tak przez chwilę. Potem Firsowna podeszła do statywu. Kobieta zdjęła okrycie, nieśmiało umieściła je na stole i usiadła na taborecie.

Przybrała pozę sztywną i nieruchomą, złożywszy ręce na kolanach, jak za dawnych czasów kobiety na weselu. Była w tym wieku, kiedy nie można było uważać jej za młodą, starą zaś nazywać by się nie chciało. Na bladej twarzy widniały głębokie bruzdy, pod oczyma i kącikami ust zmarszczki łączyły się w drobne węzełki. Włosy miała zaczesane nad skronią wysoko i gładko jak lity plaster miodu. Niewielkie oczy patrzyły bystro. Twarz ta wydawała się Firsownie znajoma, nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, gdzie ją i kiedy spotkała.

Firsowna wsunęła kasetę, nakierowała aparat i dokładnie przyjrzała się kobiecie.

— Tylko zrób mnie jak najlepiej — powiedziała kobieta samymi wargami.

— Bądź o to spokojna, niewiasto

SJE ◆ POLEMIKI

W artykule wiele jest nietaktu, nonszalanctwa i niedomówień. Ktoś by pomyślał czytając ten artykuł, że w KKM-ie siedzi grupa zmanierowanych karierowiczów, usiłująca wykorzystać każdą okazję do zrobienia furory. W rzeczywistości są to ludzie przeważnie pracujący bez jakichkolwiek górnolotnych nałogów. Piszą różnie, raz lepiej, raz gorzej — jak potrafią. Trudno już dziś wymagać od nich konkrettnego zaangażowania społecznego, które powoli zaczyna się krystalizować. Śmiem wątpić, że go w ogóle nie ma, jak to stwierdzają zgodnie autorzy.

dalej?

Dalsze losy młodych będą uzależnione od mocnej konsolidacji wewnętrznej młodego, twórczego środowiska, od wzajemnego dobrze przemyślanego kierunku działania, ale nigdy od promeritalnego, nierzeczowego ataku. W swym polemicznym wystąpieniu nie mam na celu samoobrony czy współobrony. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na niektóre momenty, moim zdaniem, mocno naciągnięte, nieprawdziwe, łącznie z obłudą, której jakoś dopatrzeć się nie mogę. Pamiętajmy, że przez nieprzemyślany atak często krzywdzimy człowieka, a tego czynić nam nie wolno. Proszę mnie nie rozumieć, że nienawidzę krytyki, przeciwnie. Krytykujmy się, byle słusznie i sprawiedliwie, a krytykując nie zapominajmy również o sobie.

CZESŁAW PIOTR KONDRACIUK

Nowe zamierzenia rzeszowskiego teatru

(WYWIAD Z DYREKTOREM STEFANEM WINTEREM)

W województwie rzeszowskim z roku na rok powiększa się krąg miłośników teatru. Wiele ludzi z życzliwością i uznaniem śledzi kolejne premiery Teatru im. Wandy Siemaszkowej, który równocześnie wystawia dwie sztuki — jedną na scenie macierzystej w Rzeszowie, drugą w terenie, co przy skromnym, zaledwie trzydziestoosobowym zespole aktorskim wcale nie jest łatwe. Mając na uwadze zainteresowanie publiczności pracą teatru „Widnokrąg" zwrócił się do dyrektora i kierownika artystycznego rzeszowskiej sceny — Stefana Wintera z kilkoma pytaniami. Odpowiedź na nie przynajmniej częściowo wprowadzi naszych czytelników w problematykę codziennej pracy tej placówki.

WIDNOKRĄG: Sezon teatralny 1962/63 został zainaugurowany w Rzeszowie zabawną komedią włoskiego pisarza Aldo de Benedettiego „Dobranoc Patrycjo", później weszła na scenę „Medea" Eurypidesa w transkrypcji Stanisława Dygata, a obecnie grane są dwie sztuki: dramat Konstantego Simonowa „Czwarty" (w Rzeszowie) i komedia Jerzego Broszkiewicza „Niepokój przed podróżą" (w terenie). Jakie jeszcze pozycje planuje się wprowadzić do repertuaru tego sezonu?

S. WINTER: W najbliższym czasie wystawione zostaną sztuki: „Pierścień wielkiej damy" Cypriana Norwida, „Świętoszek" Moliera i „Tor" Jana Pawła Gawlika. Chcemy również przygotować „Żywot Józefa" Mikołaja Reja w inscenizacji Kazimierza Dejmka i, być może, jedną ze sztuk współczesnego dramaturga szwajcarskiego Dürrenmatta. W okresie letnim wejdą na afisz — farsa Świrszczyńskiej „Trzy kobiety i ja" oraz komedia R. Lamoureux „To słowik śpiewał".

WIDNOKRĄG: Czy teatr zamierza rozwijać współpracę w zakresie reżyserii i scenografii z innymi scenami polskimi?

S. WINTER: Po gościnnych występach Czesława Wollejki z Teatru Polskiego w ubiegłym sezonie, który grał rolę sędziego w „Idiotce" Acharda i reżyserował „Męża i Żonę" Fredry, Józef Szajna z Teatru Ludowego w Nowej Hucie zaprojektował dekoracje i kostiumy do „Czwartego" Simonowa, a Otto Axer z Teatru Polskiego w Warszawie opracuje scenografię do „Świętoszka" Moliera. Ponadto „Pierścień wielkiej damy" Norwida reżyserować będzie Józef Maśliński z Krakowa, znany publiczności rzeszowskiej z ubiegłorocznych spotkań teatralnych. Kazimierz Dejmek — dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, jeżeli czas mu na to pozwoli, przygotowywać będzie reżysersko swoją inscenizację „Żywota Józefa" Reja, którą wystawiał przed kilku laty w Teatrze Nowym w Łodzi. Zaznaczyć trzeba, że sprowadzanie do Rzeszowa wybitnych artystów nie jest proste, gdyż na ogół są oni zaabsorbowani pracą we własnych teatrach lub jako wykładowcy w wyższych szkołach aktorskich. Stąd nie mogą oderwać się na dłużej od środowiska, w którym działają.

Jerzy Broszkiewicz „Niepokój przed podróżą". Komedia w 3 aktach. Reżyseria: Elwira Turska, Scenografia Zdzisław Korelewski. Na zdjęciu scena zbiorowa.

WIDNOKRĄG: Już w grudniu oddana zostanie stacja przekaźnikowa na Suchej Górze, wobec czego telewizja swoim zasięgiem obejmie cały obszar województwa rzeszowskiego. Czy, i w jakim sensie, zdaniem Pana, telewizja stanowić będzie konkurencję dla teatru?

S. WINTER: W pierwszych miesiącach, tak. Ale na dłuższą metę nie ma obawy, by TV zdystansowała teatr, wprost przeciwnie, będzie mu pomagać. W programie telewizyjnym znajdują się przecież sztuki teatralne, często doskonale reżyserowane i obsadzane znakomitymi aktorami. Tak więc telewizja wychowuje odbiorcę, wzmaga jego apetyt i zaostrza kryteria oceny. Z tego teatr nasz zdaje sobie sprawę i czyni starania, by przede wszystkim powiększyć zespół aktorski. Bez powiększenia zespołu do 50 osób nie można bowiem myśleć o poszerzeniu i większym niż dotychczas urozmaiceniu repertuaru, nie można wystawiać sztuk wieloobsadowych oraz pozycji dla dzieci i młodzieży.

WIDNOKRĄG: Pod koniec ubiegłego roku felietonista naszego pisma zapytywał o informacje z placu boju. Bój toczył się o niewielką salę dla Teatru Propozycji. O ile wiadomo batalia została zakończona. Co dalej?

S. WINTER: Istotnie bój — by użyć już tego określenia — toczył się długo, zwycięstwo przyszło w III kwartale i to uniemożliwiło natychmiastową adaptację sali dla potrzeb teatru. Finansiści są bezwzględni, czemu zresztą nie należy się dziwić, ich także obowiązują przepisy o planowaniu środków na inwestycje itp. Nie można również zdecydować się na prowizorkę, byłoby to nierozsądne. Stąd jakiś czas należy jeszcze poczekać na odpowiednie urządzenie i wyposażenie tej sceny. Jeśli chodzi o koncepcję Teatru Propozycji wydaje mi się, że nie może ona być z góry określona. Jeśli propozycje — to różne. Eksperymentowanie i swoboda twórcza zarówno w dziedzinie reżyserii i aktorstwa wpłynie na wykrystalizowanie się profilu artystycznego tego teatru. Dziś trudno prorokować jaki on będzie.

Notował: CZ. KŁ.

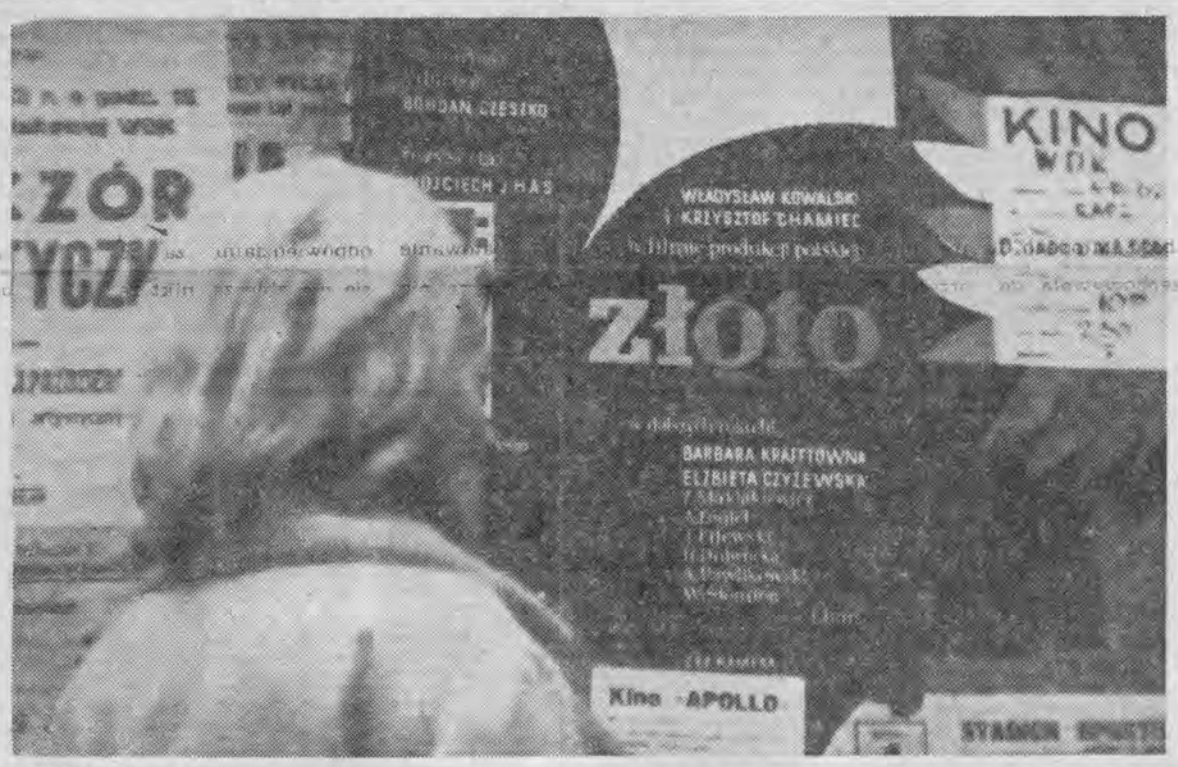

TRUDNY WYBÓR *Fot. R. Bilski*

Rodzina Milcarków

Mamy oto nowy film polski o dużych ambicjach artystycznych i społecznych. „Rodzina Milcarków" to dramat psychologiczny, którego głównym problemem jest miłość Ślązaczki — Polki do Ślązaka Niemca. Rodzina Barbary, mająca stare polskie tradycje angażuje się w III Powstanie Śląskie. Kurt, czynny członek niemieckiego Selbschutzu, pozwala się używać do sabotażu, skierowanego przeciwko powstaniu i Polsce.

Wątek ten jest z konieczności wmontowany w sprawy publiczne: w sytuację polityczną, sprawy plebiscytu, działalność Komisji Międzysojuszniczej, walki powstańcze, w machinacje polityki niemieckiej. Temat to odległy, historyczny dla dzisiejszego widza, trzeba więc wiele rzeczy po prostu podać mu do wiadomości, by nie zgubił się w biegu wydarzeń. Stąd obciążenie publicystyczne filmu. Wprawdzie dramat osobisty Barbary jest wątkiem prowadzącym, ale raz po raz eksponują się sceny czysto „polityczne". Film z dramatu psychologicznego staje się dramatem ludu śląskiego, walczącego w latach w 1919-20 o powrót do Polski. Trudność pogodzenia tych dwóch wątków rozsadza nieco spoistość wewnętrzną filmu.

Trudność druga, która zaciążyła na całości obrazu, to sprawa języka. W okresie powstawania scenariusza dyskutowano czy Ślązacy mają mówić w tym filmie swoją gwarą, czy też literackim językiem polskim. Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby mówili gwarą, ale natrafiono na nieprzezwyciężone trudności z aktorami, spośród których zaledwie kilku opanowało autentyczny język Ślązaków. Zresztą obawiano się, czy dialogi śląskie nie zmniejszą atrakcyjności filmu w pozostałych dzielnicach kraju. W filmie więc Ślązacy mówią językiem literackim polskim, co oczywiście zmniejsza wrażenie autentyzmu.

Lutowski, autor scenariusza „Rodzina Milcarków" jest znanym autorem dramatów scenicznych. Napisał również scenariusz do filmu „Pociąg" Kawalerowicza. Lutowski autor „Pociągu" to jednak ktoś zupełnie inny niż Lutowski — autor „Rodziny Milcarków". Przeskok od kameralnego filmu psychologicznego do dramatu o podłożu społeczno-politycznym kosztował go wiele, zmusił do wżycia się w nowe, dotychczas nie znane mu środowisko, i odnosi się wrażenie, że zmusił także do porzucenia dotychczasowych nawyków artystycznych. Lutowskiemu, jak współczesnemu autorowi, z pewnością wyjdzie to na dobre. Czy w jednakim stopniu skorzystał film „Rodzina Milcarków", o tym przekonają się widzowie... z zadowoleniem trzeba powitać tendencje scenarzystów i reżyserów do nawiązywania bliższego kontaktu z problematyką społeczną. Naszą rzeczą jest uważna cierpliwość, bowiem „nie od razu Kraków zbudowano".

Ciężar dramatu spoczywa z natury rzeczy na postaci Barbary. Gra ją z dużym umiarem i szczerością Aleksandra Zawieruszanka. Dla niej wszystko, co dzieje się w filmie, łącznie z najważniejszymi zdarzeniami politycznymi, ważne jest ze względu na ukochanego człowieka, który bierze udział w walce po przeciwnej stronie. Zawieruszanka potrafiła, jak mi się zdaje, sprostać trudnemu zadaniu, chociaż jej indywidualność aktorska nie była w stanie nadać osobistemu dramatowi bohaterki filmu takiego znaczenia, byśmy mieli ten dramat uznać za najważniejszy element filmowego obrazu. Ale to „wina" nie aktorki, lecz chwiejnych proporcji filmu, o którym była mowa wyżej.

Publiczności śląskiej, która jest przecież najbardziej miarodajna, film ten się podobał. Sądzę, że będzie miał powodzenie nie tylko na Śląsku. Jest w nim wiele żywej akcji, dramatycznych spięć i dbałości o historyczny i psychologiczny autentyzm.

T. PŁUŻAŃSKI

— Firsowna uśmiechnęła się życzliwie.

— Synowi zdjęcie wyślę — oświadczyła kobieta nie poruszywszy brwią ani powieką. Przysłał list. Prosi. W Permie jest, w fabryce. Oprócz matki od urodzenia nie miał nikogo.

Firsowna skinęła głową, uniosła z powagą palec wskazujący i wykonała zdjęcie.

Kobieta podała pieniądze, ubrała się i wyszła.

— Jutro przyjdź. Jeszcze dziś przygotuję odbitki — rzuciła za nią Firsowna.

Ściemniło się już. Firsowna wywołała negatywy i czekając aż wyschną, usiadła. Za ścianą, we fryzjerni, było cicho. Tylko wiatr ledwie dosłyszalnie poskrzypywał niedomkniętą furtką.

Firsowna weszła za drewniane przepierzenie do pomieszczenia przypominającego sionkę, zasunęła haczyk i zapaliła latarkę. Czerwone światło zabłysło w mrocznym pokoiku. Podłużny stół, powiększalnik, kuwety, słoje — wszystko to wydało się nagle żywe. Firsowna chuchnęła na dłonie, ułożyła negatywy i przystąpiła do kopiowania.

Firsowna wybrała negatyw z niedawną klientką, zrobiła trzy odbitki. Pod cienką warstwą wywoływacza papier natychmiast ożył. Powoli z matowej głębi zaczęła się wyłaniać pociągła twarz: oczy, usta, nos, brwi. Cała twarz, jeszcze bez zmarszczek, młoda, jakby skąpana w słońcu.

Firsowna wpatrując się w tę twarz, uczuła, że teraz sobie ją przypomina.

To było dwadzieścia lat temu. Na placu wioskowym, zatknąwszy hołoble w niebo, stoją wozy. W rowach siedzą z węzełkami staruchy, dziadkowie; milczą, ocierają oczy. Dziewczyny tańczą gdzieś za cerkwią, z piskiem wykrzykują zwrotki czastuszek, gniewnie postukują obcasami. Malcy kręcą się w tłumie. Przed wejściem do klubu wartownicy w marynarkach, bez czapek z karabinami. Za ogrodzeniem, na łączce mężczyźni i młokosy siedzą na trawie. Przed nimi rosły, szczupły, ogolony mężczyzna w bluzie i wojskowych butach. Mówi coś zmęczonym, opadającym ze wzruszenia głosem, patrzy wszystkim w oczy, jakby szukał ich odpowiedzi.

A Firsowna, wtedy jeszcze zwyczajna — Leńka, podaje ojcu kasety, a ten nie odstępuje aparatu na wysokim trójnogu, wczepiwszy się weń jak w kulomiot. I Leńka uwija się z robotą, bo kolejka i każdemu spieszno.

I oto tego dnia przed Leńki ojcem stanęło tamtych dwoje. Ona, dzisiejsza kobieta w szarym okryciu, a z nią młody kędzierzawy chłopak. Ona taka młoda, z długim warkoczem przez plecy, skrzypiała nowymi pantoflami. Przed obiektywem stanęła wyprostowana jak na weselu, trzymała chusteczkę. Położywszy dłoń na jej ramieniu i pochyliwszy nieostrzyżoną jeszcze głowę, chłopak natarczywie wpatrywał się w oczy dziewczyny. Potem chwycił jej skronie, zwrócił ku sobie jej czoło i pocałował we włosy — w gęste, miękkie włosy. Zakrył oczy i zdyszany zawołał:

— Ech, głowo ty moja złocista! Główeńko ty moja...

Firsowna ocknęła się i wyjęła papier z kuwety. Odbitka pociemniała, oczy patrzyły czarno — jak z głębiny, postarzała twarz kobiety pokryła się gęstą siecią zmarszczek.

Firsowna podarła papier i wzięła następną odbitkę.

Nagle drzwi od korytarza rozwarły się na oścież, ktoś wszedł do dużej izby i głośno, po gospodarsku, zaczął za drewnianym przepierzeniem obtupywać ze śniegu walonki. Firsowna poznała, że to mąż. Pewnie wracał po pracy i wstąpił po nią, ażeby razem iść do domu.

NOWYJ MIR. 1962

przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

Jurij Kuranow należy do najbardziej obiecujących przedstawicieli młodej prozy radzieckiej. Ma lat trzydzieści jeden, pochodzi z Leningradu. Po kilku latach studiów na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Moskiewskiego zamieszkał na wsi w obwodzie kostromskim. Pisze małe liryczne opowiadania, które publikuje w czołowych miesięcznikach radzieckich. Przed rokiem Kuranow ogłosił pierwszą książkę pt. „Lato na północy".

W 125. rocznicę urodzin Artura Grottgera

Malarz powstania styczniowego

— O żołnierce nie możesz nawet marzyć! — wyrokował ojciec, kuzyn generała Bema, dawny ułan 5. pułku „Warszawskich dzieci", parający się — jak inni szlachcice XIX wieku — gospodarką na roli.

— Będę malował wojenkę i ułanów! — upierał się młodziutki Arturek, rosły, zgrabny, po mistrzowsku prowadzący konia wierzchowego z ojcowskiej stajni w Otyniowcach. — Od wojny nie odstąpię!

Na wojnę się nie zanosiło. Dopalały się wolnościowe ognie „Wiosny Ludów" w państwie rządzonym przez młodego cesarza Franciszka Józefa, oliwa chwilowego pokoju rozlała się nad ziemiami górnego biegu Wisły. Podobnie było za kordonami — w środkowym i dolnym biegu rzeki.

Młody Grottger uczy się rysunku we Lwowie, pobiera lekcje u genialnego portrecisty koni, u Juliusza Kossaka. W tym samym czasie — były to już czasy krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — starszy od niego o rok kolega, Jan Matejko, ogląda się za modelami brodatych starców, którzy by nadali mu się jako modele do historycznych postaci.

— Masz cesarskie stypendium! — mówi siedmnastoletniemu Grottgerowi jeden z jego wujów. — Wyrobiłem ci, porzuć te swoje konie i matejkowskich brodaczy, jedź do Wiednia!

W Wiedniu Artur maluje, portretuje, tańczy, bawi się, martwi się brakiem nowych perłowych spodni i naraz — grom z polskiego nieba, wiadomość o krwawych demonstracjach w Warszawie.

Wiadomość o tragicznych wypadkach na placu Zamkowym dokonuje przełomu w życiu i myślach dwudziestoczteroletniego studenta wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, wziętego już wówczas ilustratora książek i cenionego rysownika. Grottger chwyta ołówek i rzuca na kartony papieru dwa cykle: „Warszawa I", ukazując w nim cierpienia, bohaterstwo i tragedię polskiego narodu oraz cykl „Warszawa II", poświęcony terrorowi caratu.

Na wieść o wybuchu powstania styczniowego Grottger śpieszy z Wiednia do Warszawy, pragnąc walczyć z bronią w ręku o wyzwolenie ojczyzny. Okazuje się jednak, że ani umiejętność konnej jazdy, ani parantele z Bemem i pułkiem „Warszawskich dzieci", ani żołnierska postawa młodego Artura nie nadają się do partyzanckiej walki w lasach. Na domiar robiąca postępy choroba płuc i niedomoga soczewki ocznej, określona przez lekarzy jako dyschromatopsja, skłaniają Grottgera, aby służył sprawie powstania w inny sposób.

W pierwszym roku powstania styczniowego powstaje głośny cykl z dziewięciu kartonów — „Polonia". Obrazy „Kucie kos" i „Bitwa" tchną siłą i optymizmem stanowiąc rodzaj manifestu patriotycznego. Trzeci, popularny z całego cyklu obraz „Branka", budzi gniew narodu, porywając najbardziej opieszałych do walki.

„Gdybyś ty wiedział — pisał Grottger do jednego z przyjaciół — jak mnie powstanie na duchu wskrzesiło, jak mnie zbudziło i z odmętów wyrwało, wskazało drogę i natchnęło do pracy!...

Cykl „Polonia" stanowi artystyczną syntezę powstania styczniowego, ukazuje zrywy i wydarzenia walki niepodległościowej. Dzięki kartonom tego cyklu Grottger wszedł do historii kultury polskiej nie tylko jako artysta wielkiej miary, ale jako malarz swej historycznej współczesności. Kontynuacją tematyki powstania styczniowego był stworzony po upadku powstania w 1864 r. w Wenecji cykl „Lituania", mówiący o udziale wsi polskiej w walce niepodległościowej. Cykl ten miał poruszyć serca ludzkie całego świata dla przegranej sprawy powstania i nigdy nie przegranej sprawy Polski. Piękno przyrody ojczystej stopiło się w tym cyklu z rozpaczą po utracie złudzeń wolnościowych.

„Ja gram na uczuciach ludzkiego serca — pisał o sobie Grottger — zagłębiam się w nie i odczuwam boleśnie. Jeżeli więc zdołam wywołać oddźwięk zamierzony, to moja nagroda najwyższa osiągnięta".

Stało się tak jak przypuszczał: „Byłem tak dziwnie spokojny — pisze patrząc na łzy wzruszenia w oczach widzów, oglądających na wernisarzu cykl „Lituania" — byłem tak żywo przejęty całą doniosłością powołania artystycznego, że sam sobie sprawy z tego zdać nie mogłem".

Jednym z obrazów najbardziej charakterystycznych dla nastrojów polskiego społeczeństwa w 1863/64 roku i odczucia Grottgera jest jego „Pojednanie": na zaśnieżonym polu, okolonym sosnami, spoczywają dwa trupy: polskiego powstańca i rosyjskiego żołnierza, poległych w walce i pojednanych w śmierci.

Zawartą w tym obrazie myśl o okrucieństwie wojny rozwinął artysta w cyklu „Wojna", tworzonym w ostatnich latach swego życia. Atmosfera ogólnoludzkiego dramatu, ukazana pod alegorycznymi postaciami walki „królów-szkieletów" jest protestem przeciwko „zbrodni wojny w całej jej potędze a raczej zwierzęcości" — jak pisał.

Cykl ten ukończył Grottger w maju 1867 r. Tegoż roku „pewnej grudniowej nocy, dzwoniąc kosą o zamarznięte pnie jego „Puszczy", przyszła po niego śmierć. Poznał od razu swą modelkę i posłusznie podał jej ramię...".

Z bezsilnych palców artysty wypadł ołówek....

ADRIAN CZERMIŃSKI

Mgr KAZIMIERZ MOSKWA — wojewódzki konserwator zabytków archeologicznych
Rys. J. SIENKIEWICZ

W studiach filmowych i na ekranach świata

Alain Resnais i Delphine Seyrig — realizator i gwiazda „Zeszłego roku w Marienbadzie" — spotkali się znów na terenie studia w Boulogne-sur-Seine, gdzie kręcą nowy film: „Czas powrotu".

Delphine Seyrig, która postarzała się tylko o dwa lata, będzie jednak w nowym filmie miała siwe włosy, oznaczające wiek wspomnień. „Czas powrotu" będzie bowiem właśnie filmem wspomnieniowym.

* * *

Pierre Brasseur będzie Don Juanem w „Lioli" — najbliższym filmie włoskiego realizatora („Noce Europy") Alessandro Blassetiego. Scenariusz oparty jest na jednej z komedii Pirandella, autora „Nie wiadomo jak". Film będzie nakręcony w Rzymie, w styczniu 1963 r. Jest to historia dwóch prowincjonalnych uwodzicieli, których działalność wyprowadza z równowagi mieszkańców małego miasteczka. Współpartnerem Brasseura w tej roli będzie włoski aktor Ugo Tognazzi.

* * *

Annie Girardot, która otrzymała w tych dniach „Victoire" — nagrodę dziennika „Figaro" i tygodnika „Cinemonde" zakończyła właśnie nakręcanie scen do filmu Vadima „Perwersja i cnota". Ma ona teraz kreować rolę kochanki Mussoliniego, Clary Petacci, w filmie o ostatnich dniach „Duce".

Erwin Leiser, realizator filmu „Mein Kampf" oraz „Eichmann i III Rzesza", przebywa obecnie w Paryżu, gdzie zbiera dokumentację do swego trzeciego z kolei filmu — „Wybierz życie". Ukaże on sytuację człowieka ery atomowej, przedstawiając niebezpieczeństwa oraz dobrodziejstwa energii jądrowej.

Spośród filmów amerykańskich realizowanych we Francji wymienić należy reżyserowany przez Ryszarda Quine „Iskrzący się Paryż", w którym główne role grają Audrey Hepburn i William Holden.

* * *

W związku z toczącą się w Szwajcarii dyskusją nad nową ustawą filmową, żywo omawiana jest sprawa cenzury filmowej w tym kraju. „Nie wiem, jakie czynniki ponoszą odpowiedzialność za to, że w Zurychu nie można prawie obejrzeć filmu, który nie byłby okrojony. Nie wiem również jakimi kryteriami kieruje się cenzura" — pisze jeden z czytelników wielkiego dziennika szwajcarskiego Neue Zuercher Zeitung.

Autor listu stwierdza, że cenzorzy psują filmy, a winę przypisuje się potem reżyserowi. Jako przykład przytacza wycięcie w filmie Fellinie go „La dolce vita" sceny strip-teasu, podczas gdy w nocnych lokalach Zurychu strip-tease pokazywany jest w całej okazałości.

Zdarzenia TYGODNIA

Prowadzony w Domu Kultury Górnika-Naftowca w Krośnie cykl odczytów i spotkań z działaczami politycznymi, przedstawicielami nauki, sztuki itp., cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem. Na każdej tego typu imprezie notuje się dużą frekwencję.

M. in. mieszkańcy Krosna spotkali się z krakowskim poetą Janem Zychem, redaktorem naczelnym „Nowin Rzeszowskich" Stanisławem Goleniem, dyrektorem Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej Stefanem Winterem, delegatami na V Kongres Związków Zawodowych.

* * *

W krośnieńskim Domu Kultury Górnika-Naftowca odbył się uroczysty koncert zespołów artystycznych przemysłu naftowego. W imprezie uczestniczyły związkowe zespoły z Gorlic i Glinika Mariampolskiego, Jasła, Niegłowic, Sanoka i Krosna.

Na program złożyły się tańce regionu Podkarpacia, występy chórów oraz melodie w wykonaniu zespołów wokalnych i muzycznych. Wystąpiły też orkiestry i soliści. Imprezę tę, opracowaną przez kierownika DK w Krośnie Wiktora Łąckiego, zorganizowano dla uczczenia V Kongresu Związków Zawodowych.

* * *

Z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet i Wydziału Kultury WRN odbyła się ostatnio w Rzeszowie wojewódzka narada aktywu kulturalno-oświatowego, poświęcona sprawom omówienia form pracy placówek k. o. w okresie jesienno-zimowym. W naradzie uczestniczyli kierownicy wydziałów kultury PRN, bibliotek powiatowych i aktyw Zarządów Powiatowych LK.

* * *

27 ubm. obradował w Rzeszowie sejmik działaczy kultury z terenu miasta. Obrady toczyły się wokół spraw związanych z realizacją uchwał Egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR w sprawie rozwoju życia kulturalnego w mieście.

* * *

W niedzielę 25 ubm. w Muzeum w Przemyślu otwarto wystawę jesienną rzeszowskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Ekspozycja obejmuje 38 prac 15 rzeszowskich artystów-plastyków.

* * *

W salach jarosławskiego muzeum czynna jest wystawa prac artystów plastyków grupy Jarosław. Ośmiu plastyków wystawia ponad 80 prac z dziedziny rzeźby, malarstwa i grafiki.

WIDNOKRĄG odpowiada

St. M. G. Przeworsk: Nowoczesna forma wiersza to jeszcze nie wszystko. Trzeba mieć coś w wierszu naprawdę ważnego do powiedzenia. Dlatego nawet skądinąd interesująca „Jesienna noc" nie jest pełnowartościowym utworem poetyckim. To zaledwie szkic, etiuda ćwiczebna, zarys nastrojowego pejzażyku, który w tej formie niczemu nie służy, nic z niej nie wynika. Sądzimy jednak, że warto kontynuować próby poetyckie pamiętając, że forma jest tylko oprawą treści intelektualnych wiersza.

„Zeta" — Nie skorzystamy. Piszecie: „Stoi sobie leśniczówka, ładna, piękna jak cud dziewczę, stoi sobie na polance wśród tych szumów liści"... Niech sobie stoi, bo do poezji chyba nie wejdzie. W każdym razie nie w naszym tygodniku.

J. W. Piątkowa: Podtrzymujemy naszą ocenę poprzednią. Wiersze nie nadają się do druku, gdyż brak im wartości artystycznych. Są to lekko strząśnięte z pióra rymowanki dość banalne i oczywiste w treści, i prymitywne w formie. Aforyzmy nie zawierają jakichś ciekawych, odkrywczych myśli.

STANISŁAW GALOS

Biały zrobił swoje - lecz nie chce odejść

Antwerpia — chyba najpiękniejsze miasto Belgii. W przeciwieństwie do Brukseli, wszystko tu układa się w kapitalną harmonię. I wieżowce wystrzelające ponad zabytkowe centrum i ciche uliczki, mroczne jak krakowska Floriańska — z szerokimi nowoczesnymi arteriami, sąsiadują w przykładnej zgodzie. Tylko jazgot wielkiego miasta portowego psuje zaklęty w murach nastrój dostojeństwa i zamożności.

A ruch w Antwerpii jest ogromny. Różnojęzyczny tłum przelewa się przez ulice, przez sklepy, w których można kupić wszystko, jeśli się tylko ma franki i dolary. Oto np. wielki sklep „Priby", znanego koncernu handlowego. Jakiś Murzyn przykleił prawie nos do szyby i patrzy do wewnątrz w ten bajkowy świat. Stojąca obok dziewczyna kokietuje go aż nadto wyraźnie błękitnymi oczyma, robi niedwuznaczne propozycje, lecz zawiedziona nic nie rokującym uśmiechem Murzyna, odchodzi.

Nie ma jednak tłoku w autobusach. 5 franków za bilet to dużo nawet na kieszeń dobrze sytuowanego Belga. Tyle samo kosztuje przejazd tramwajem. Jechałem akurat autobusem do portu. Obok mnie siedziało kilkunastu Murzynów z Katangi. W swoim narzeczu rozprawiali głośno i co chwilę wybuchali śmiechem. Staruszka siedząca obok mnie była wyraźnie zgorszona ich zachowaniem. Wysiedli kilka przystanków przed portem.

Czarnuchy — tak ich pogardliwie między sobą nazywają Belgowie. Obrzydły czarnuch — syczała właścicielka ulicznego kiosku z gorącymi frytkami na hebanowego chłopca, który przed chwilą był jej klientem. Dzikie czarnuchy — skrzeczał staruszek na jednym z placów Gandawy, karmiący gołębie, kiedy przechodzący czarni ludzie niechcący spłoszyli mu ptaki.

Jest w tym lakonicznym określeniu — czarnuchy — prócz pogardy coś więcej: zwykła, widoczna w rozmowach, choć skrzętnie tajona przed Murzynami, wściekłość. Z górą pół wieku przecież kapitalizm belgijski łupił narody Konga, obszar państwa, które od metropolii jest większe około 30 razy. Pół wieku z górą nieludzkiego wyzysku pozwoliło Belgii stać się jednym z najbogatszych krajów świata. To nic, że w Kongu co tydzień ginęły tysiące ludzi z głodu, na skutek chorób, w sztolniach kopalni uranowych. Za zyski stamtąd ciągnięte w Belgii wyrastały nowe fabryki i drapacze chmur. W Brukseli tylko po drugiej wojnie światowej w dzielnicy ambasad akcjonariusze Union Minere wybudowali wspaniałe wille, których przepych może się równać chyba tylko z przepychem siedzib wschodnich książąt.

— Odeszliśmy z Konga po angielsku — mówiła mi jedna z rozmówczyń. Popełniliśmy wielki błąd. Teraz rządzą się sami. A czy wie pan jak oni się rządzą? Wszyscyśmy wiedzieli o tym, że to, co się tam teraz dzieje, musiało nastąpić. Chaos, zdziczenie, powrót do epoki kamienia łupanego. Co za ironia i lekkomyślność, żeby władzę dawać ludziom, którzy niedawno zeszli z drzewa.

Próżny zdawał mi się trud oponowania. Choć, jak wiele ludzi zdaję sobie sprawę, że to co słyszałem o Kongijczykach jest „starą piosenką" zacietrzewionych przeciwników ludów kolonialnych. Zdawałem sobie sprawę z tego, że interlokutorka celowo „zapomina" o tym, iż przed wtargnięciem do Konga Belgów, ba, kilkanaście wieków wstecz — kiedy Europa tonęła jeszcze w mrokach średniowiecza, w dorzeczu Konga kwitły wysoko zorganizowane państwa.

Belgowie nie odeszli z Konga „po angielsku". Zanim pozornie ustąpili, postarali się o to, by skłócić żyjące dawniej w zgodzie plemiona faworyzowaniem jednych grup, poniżaniem drugich. Kiedy to nie dało stuprocentowego skutku, kiedy naród wystąpił zbrojnie przeciwko kolonizatorom, ci ostatni zdezorganizowali życie gospodarcze i administracyjne i wtedy dopiero powiedzieli: rządźcie się sami.

Murzyni, których widziałem na ulicach Antwerpii, to Katangijczycy, poplecznicy Czombego. Kacyk przysyła ich do Belgii na przeszkolenie. Jakie przeszkolenie tu pobierają widziałem w porcie przy bocznicach kolejowych, na których stały czekając na załadunek na statki czołgi, wokół których kręcili się chłopcy o hebanowej skórze.

Rozmówczyni mówiła mi, że pół roku trwa szkolenie ludzi Czombego w Belgii. — Ależ oczywiście, uczą ich też administrowania krajem. Po takim kursie — mówiła — zostają nawet dyrektorami departamentów. Oczywiście w Katandze.

Przysłuchujący się naszej rozmowie pan wdał się w dyskusję. Jako Belg, człowiek cywilizacji zachodniej i demokrata uważa, że Kongijczykom należała się niezależność. Za to co się tam teraz dzieje, metropolia nie może brać odpowiedzialności. Rządzą się sami — mówił, a my oczywiście wszystko co tam robimy, a jest białych teraz w Kongu mało, czynimy z myślą o polepszeniu istniejącego stanu rzeczy. Ilu czarnuchów uczymy rządzenia — ho, ho.

W Muzeum Afryki Równikowej w Brukseli, a do niedawna nazywającym się (znać jeszcze ślady przemalowywania) Muzeum Kolonialnym, Belgowie zgromadzili duże zbiory kultury materialnej Konga. Na pierwszym planie pokazali oszałamiające bogactwo minerałów od złota do uranu, ukrywane w tamtejszej ziemi, oraz niektóre najbardziej ponure eksponaty — tak żeby przekonać widza, że wkroczenie Belgów do Konga miało „cywilizacyjne" przesłanki i zmierzało do wyeliminowania „zdziczałych obyczajów, makabrycznych rytuałów. Słowem, eksponaty ułożono tak jakby właśnie rzekome barbarzyństwo było zasadą współżycia tamtejszych plemion. Z daleka, z kątów spozierają na widza przepiękne rzeźby z drzewa, kamienia, których autorstwa nie mogliby się powstydzić najwięksi mistrzowie dłuta. A przemyślne narzędzia, a ogromna, długa chyba na 20 metrów i szeroka na półtora metra łódź z jednego pnia — też jest dziełem rąk „barbarzyńców". Z całą pewnością nie.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzes ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4618 zespół redakcyjny 2058, 2857 — wewn. 193